№ 4.

Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych: na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

LUDWIK KAMOEUS.

Co tylko najszlachetniejszego mieści się w sercu i duszy człowieka, wszystko to było udziałem tego znakomitego męża. Rodem Portugalczyk, urodzony w roku 1524, od najpierwszéj młodości, uwielbiał klassyków i czcił wielkich mężów.

Pierwsze jego próby poetyczne, przyjęte były z uśmiechem wzgardliwym politowania. Późniéj skutkiem kłótni, spowodowanéj miłością do jednéj z dam pałacowych, musiał opuścić Lizbonę i udał się na wojnę toczoną przeciw Marokanom. Wyszydzony jako poeta, opuszczony jako człowiek szukający stanowiska, w zawodzie rycerskim z równemi napotkał się przeciwnościami. Stracił bowiem oko, a w zamian nie zyskał ani uznania, ani nagrody. Zawód więc ten zmuszony porzucić, nęcony powabnym rozgłosem Indji wschodnich, puścił się w tę niebezpieczną i daleką podróż; ale i tu los równie mu się okazał nieprzyjaznym.

W drodze, płynących napotkała straszna burza, kilka okrętów należących do wyprawy rozbiło się i zatonęło, Kamoeus prawie cudem ocalony, przybył wreszcie do Goa, ale to nie mogąc się nigdzie stosownie pomieścić, zmuszony był znowu poświęcić się zawodowi wojskowemu, i pomimo wstrętu do tego stanu, wszedł jako ochotnik do armji Królestwa Kochin. Było to straszliwe pomieszczenie, zarówno niebezpieczne jak nieprzedstawiające żadnych widoków. W krótce téż pod wpływem zabójczego klimatu padli prawie wszyscy nowi towarzysze Kamoeusa, a on znowu cudem ocalony, wrócił do Goa pozbawiony wszelkich zasobów, prawie bez grosza, nie opuszczając jednak zawodu tyle niewdzięcznego.

Wsłużbie téj, należąc do różnych wypraw morskich przeciw rozbójnikom, ocierając się bliżéj o szczegóły administracji krajowéj, przypatrzył się jéj brakom i niedołęztwu i uniesiony zapałem poetycznym, napisał ostrą satyrę, potępiającą zły zarząd Indji. Prawda dotkniętych mas oburzyła, oskarżony o potwarz, skazany na wygnanie do Makao, pomieszczony został na malutkim urzędzie administracyjnym, zape-

wniającym mu zaledwie nader biédne utrzymanie. Nowy wice-król objaśniony przez przyjaciół Kamoeusa, o niesłuszném jego prześladowaniu, pozwolił mu wrócić do Goa. Los jednak nieszczęśliwy jaki go ciągle prześladował, i tu go nie opuścił. W powrocie okręt na którym płynął, rozbił się, całe szczupłe mienie poety zginęło, a sam Kamoeus zachowawszy przy sobie poemat rozpoczęty, z którym nawet w obec nieochybnéj śmierci nie chciał się rozstać, wskoczył w morze i szczęśliwie dostał się do brzegu.

W Goa niechętni ujrzawszy Kamoeusa, nieczuli na doświadczone przez niego nieszczęścia, poruszyli się w swéj złości, i pragnąc zguby człowieka co śmiało wystąpił przeciw ich nadużyciom, po długich szperaniach nie mogąc nic innego wynaleść, oskarżyli go o nadużycia w urzędzie sprawowanym na wygnaniu w Makao i tyle zabiegami dokazali, że został osadzony w więzieniu. Ale przyjaźń ludzi prawych przyszła mu w pomoc, bezzasadność oskarżenia dowiedziono i Kamoeus z pod zarzutu uwolniony został. Więzienia jednak nie prędko opuścił, nieprzyjaciele bowiem zobaczywszy że zabiegi ich spełzły na niczem, podstawili licznych wierzycieli Komoeusa i ci go daléj przetrzymali w zamknięciu. W ówczas życzliwi poecie, przekonawszy się, że walce téj nie będzie końca, że tak zawzięcie prześladowany, będzie w końcu musiał uledz pod naciskiem tajemnych intryg, chcąc raz rzecz stanowczo ukończyć, złożyli znaczną kwotę pieniężną, popłacili Kamoeusa długi, dali na koszta podróży i choć z żalem, wyprawili z powrotem do Europy.

W Portugalji panował wtenczas szesnastoletni Sebastjan pogrobowiec, zasiadający na tronie od trzeciego roku życia pod opieką stryja swego kardynała Henryka arcybiskupa Lizbońskiego, regenta królestwa, wielkiego mistrza wszystkich orderów, ale mimo tego, i pięknych osobistych przymiotów, człowieka zupełnie niepraktycznego i nieobznajmionego ze sprawami publicznemi. Król sam wychowany przez Jezuitów w ślepém dla dworu Rzymskiego posłuszeństwie a w nienawiści ku niewiernym, żyjąc jak kameduła, pomimo lat swych młodzieńczych, chciał cały kraj urządzić według swoich zasad, i zmienić wszystko na sposób surowego życia w klasztorze. Nienawidząc kobiét i pogardzając stanem małżeńskim, postanowił prawa przeciw zbytkom i wszystkim przedmiotom zagranicznym, dowożonym przez handel do Portugalji, a z wadliwym wychowaniem łącząc zapał rycerski swéj narodowości, rozogniony czytaniem dzieł stosownych, ciągle marzył o wyprawie przeciw Maurom Afrykańskim, i poddaniu ich pod chorągiew Chrystusa. W chwili przybycia Kamoeusa do Lizbony, stolica zniszczona zarazą morową wyglądała jak cmentarz, nie jak gród kwitnący wrzawą ludzkiego życia. Każdy krzątał się około spraw własnych, każdy myślał o zarobku, interesach, nikt o poezji, a tymbardziéj o poparciu poety, co wracał biédnym z kraju, w którym sta ludzi a nawet tysiące bogaciło się i przychodziło do niespodziewanego zupełnie mienia. Że jednak imie Kamoeusa jako poety, znane już było w ojczyznie i o genjuszu jego czasami pomrukiwano, król Sebastjan otrzymawszy dedykowany sobie poemat, przeznaczył mu sto liwrów rocznéj pensji, rządząc się zapewne więcéj opinją jak własném przekonaniem. Była to pomoc niedostateczna, zwłaszcza że poezja żadnéj mu nie tylko nie przynosiła korzyści, ale przeciwnie była przeszkodą do poświęcenia się jakiéj innéj więcéj zyskowniejszéj pracy. Mimo tego, pióra prawie niewypuszczał z ręki, w tworzonych przez siebie obrazach, występowały morskie wyprawy z całą swą okropnością, ryczące hukiem fali i jęczące wrzawą zażartéj walki. Czasami wśród tych okropności wspomnienie Europy, przypływa ze stron dalekich, jak tchnienie wiatru, chłodzące rozgorączkowaną wyobraźnią. Czasami znów Azja występuje z całą dziewiczą wonnością swego bogactwa, albo szlachetna rycerskość dla prawdy i krzyża, z potworną awanturniczością chciwych wypraw wędrowców.

Ale żyjąc w tak wymarzoném niebie, nagradzającém chwilowemi uśmiechami nieznanego innym szczęścia, Kamoeus od ziomków i ziemi dla których snuł pieśń z życia swego rozraniał serce, aby dusze ludzkie czułemi zrobić na dźwięk poetycznego słowa, darzony był straszną męczarnią nędzy, a nawet czasami.... głodu, od którego uwalniał go chléb wyżebrany u furty klasztornéj, albo uproszony przez sługę Jawańczyka, pomimo tak smutnego losu poety, nie mogącego rozstać się z ukochanym przez siebie panem. Niszczony pracą ducha i nędzą ciała, dla dzieł swych nieśmiertelnych, nie mogąc wyjednać nawet skromnéj pochwały, godnéj genjuszu, zmordowany walką z przeciwnościami, z zawistnym losem, i z niedołęztwem umysłowém własnych rodaków, biédny poeta uległ pod tyloma ciosami i zachorowawszy, z miłosierdzia przeniesiony został do szpitala. Do końca jednak swego żywota nie wyrzekł ani jednego słowa złorzeczenia, raz odezwał się z żalem, ale i wtenczas nie siebie, ale Portugalją miał na celu. Powiada bowiem:

Sama tylko Portugalja, nasycona sławą oręża, gardziła sławą z literatury i sztuk pięknych. Lira muz nie głaszcze jéj ucha, serce jéj głuchem jest na niebieskie zachwycenia poezji, gardzi boską sztuką, ponieważ jéj nie pojmuje.

W téj cichéj skardze, pisanéj krwią własnéj boleś-

ci, nie powstaje jednak na nikogo; ze smutkiem objawia cierpienie nie z przyczyny opuszczenia swego i nieuznania, ale że ziomkom, lira poetyczna nie głaszcze ucha, że szczęk oręża przygłusza dźwięk pieśni, a i wtenczas jeszcze zarzut uniewinnia własnemi słowami, że naród nie ocenia właściwie poezji bo jéj nie pojmuje. Takiéj społeczności przebacza się wiele i dlatego Kamoeus lituje się a nie gniewa, smuci a nie złorzeczy, bo przekonany jest, że złe z tego powodu, więcéj naród jak jego dotyka.

(d. n.)

---

* * *

Tegoroczna zima ani ziębi ani grzeje: niby śnieżna a sanki nie wiele w użyciu; niby mroźna a futro przynajmniéj w Warszawie często bywa zbyteczne. Częściéj klapiąca jak chrupiąca, czasami tak ślicznie zaświeci słoneczkiem że mimowoli nasuwa myśl o fijołkach i skowronku. Ale po dobie złudzenia, występuje na nowo ze swemi przywilejami i okrywa dachy i ulice grubą warstwą śniegu, a drzewa puszastym szronem. W pośród téj zmienności humoru, dąsów i uśmiechów, Wisła także kaprysi, bo ścięta blisko łokciowéj grubości lodem, według urzędowych wiadomości z Zawichosta, zaczyna przybierać grożąc krą i zniszczeniem. W powietrznym także okręgu równe dzieją się wybryczki i niespodzianki. W roku zeszłym w Grudniu, nad Atenami przepłynął orkan z grzmotem, błyskawicą, piorunami i oberwawszy chmurę, z taką gwałtownością lunął strumieniami wody, że w całym pasie swego przechodu, zrównał z ziemią ogrody i winnice a we wsiach połowę poprzewracał budynków.

Podobna burza w Styczniu r. b. przeciągnęła przez Czechy, Niemcy, okolice Paryża i od oceanu Atlantyckiego do doliny Gaskońskiéj, a gdy w stronie północnéj naszego lądu, przy temperaturze o kilka stopni niżéj zera huczały śnieżne zawieruchy, w Hiszpanji były wielkie zimna, zasypując śniegiem północ i środek kraju, nie oszczędzając nawet Włoch znających ostrość zimy tylko z opisów.

W pośród tych szalejących żywiołów, z powietrznego arsenału sypały się pioruny jak w czasie najupalniejszego lata. W Norymberdze, w Neugedein, w Wirzburgu piorun spalił kościoły. W Pradze Czeskiéj, w Rokiczanach, w Czasław uderzył w wieże, a w Trzy Króle w téjże samej Pradze, pioruny przebiegały nad miastem jak chmury i jeden nawet zawadził o wieże zamkową.

Gdy tak pioruniste burze niszczą i pożerają pracę człowieka, na posiedzeniu towarzystwa Anologicznego w Londynie, jakby w zmowie z temi objawami bezlitośnych żywiołów, rozwodzono się obszernie nad ludożerstwem i podług niego wyciągano wnioski o starożytności znalezionych kości ludzkich, których niezwykłe pokruszenie i pomięszanie ze szczątkami różnych zwierząt i przedmiotów kamiennych, różne nasuwały domysły. Przeciw nim wystąpił p. Huxley, a zbijając zasadę jakoby ludożerstwo miało stanowić cechę głębokiéj starożytności, oświadczył że kanibalizm jest wypływem naturalnego popędu człowieka nie do miłości bliźniego, ale do jego zjedzenia, więc od początku świata w jednym nieprzerwanym objawiając się ciągu, nie może być kładziony na karb zbyt dalekich czasów. Utarte przysłowia, ostrzeć na kogoś zęby, mieć na kogoś apetyt, obedrzyć ze skóry, dowodzenie to bardzo popierają, tylko z postępem cywilizacyi, zmieniło się praktyczne ich zastosowanie.

Niesienie pracą pożytku nie tylko sobie ale i społeczności, uważane sa za mrzonki głów chorobliwych, bez względu że nawet martwy świat kopalny, rośliny bezwiedném ożywione życiem, wszystko to służy dobru ogólnemu. Nie dawno jeden z uczonych wykazał, że z 279 familji roślinnych, w osiemnastu tylko nie mogą odkryć pożytku, reszta składa się na najwymyślniejsze wygody człowieka-służąc zarówno wygodzie jego jak zbytkowi.

Z klassyfikacyi jednak tego pożytku dziwne mimowoli powstają myśli. Roślin 650 dają farby malarskie; 200 wonne aromaty; 200 napoje i trunki spirytusowe, a tylko 44 papier. Czyżby to znaczyło że naśladowanie ludzkość przekłada nad rzeczywistość; sztuczną woń i nakotyk nad książkę? Co do nas, odpowiem Wam małym obrazkiem statystycznym. Wiadomo, że w Warszawie wszystkie prawie domy przy główniéjszych ulicach obejmują sklepy z różnorodnym towarem. Blondyny, wstążki, fraszki, cacka, butelki wabią co chwila przechodzących, delikatesy gastronomiczne nęcą, a wyziewy alkocholiczne odurzają. W tym labiryncie magazynów, sklepów, składów, kramów, kramików, szynków i straganów, jak jakie sierotki kryje się piętnaście księgarni, nudząc się, wyglądając, jak kania deszczu kupującego. Na dwukroć stotysięczną ludność to troszkę za mało, zwłaszcza gdy czwartą część Warszawy wynoszący Poznań ma 11 księgarni a z miast o połowę od niéj mniejszych, Praga Czeska 30, Frankfurt 33, a Stutgardt przeszło 70.

Ale pod względem przestrzeni stosunek ten jeszcze fatalniejsze przybiera kształty. I tak Księstwo Wejmarskie obejmujące mil kwadratowych 60, posiada księgarni 30; ubogi Meklemburg na 244 milach ma ich jednak 19, w tym samym stosunku inne księztwa; tymczasem Galicja posiadająca 1,364 mil kwadratowych, a więc prawie tyle co kilkanaście księstw nie-

mieckich razem złączonych, liczy księgarń, tylko 22 zaledwie tylko żywot wlokących i cudem broniących się od śmierci z głodu. Biorąc w przecięciu, w środkowéj Europie, na dziesięć mil kwadratowych, najwyżéj; wypada jedna księgarnia, u nas na 62 jedna jest zbyteczną. O sześć razy więc mniéj czytamy, uczemy się i kupujemy książek od naszych sąsiadów, to téż we wszystkiém o sześć razy niżéj od nich stojemy.

W świecie jednak nauka i wynalazki ciągle idą naprzód. Niedawno odbywano próby z lokomotywami do dróg bitych, aby obchodząc się bez kosztownych przyrządów kolei żelaznéj, można było parą jeździć zamiast końmi. Diś zadanie to już jest rozwiązane, a nawet fabryka machin Cegielskiego w Poznaniu, budowę podobnych lokomotyw rozpoczęła.

Mowią także dosyć o zastosowaniu do telegrafów nowego przyrządu samopiszącego, przesyłającego depesze pisane własną ręką przesyłającego. W Paryżu znowu jakiś Groof zapowiedział latanie po powietrzu przy pomocy skrzydeł własnego pomysłu. Dopełnione poprzednio próby miały wypaść bardzo pomyślnie. Jest więc nadzieja że w niedalekiéj przyszłości, elektryczność zastąpi poczty, powietrzna jazda długie podróże morskie i lądowe, a w morskich otchłaniach przy pomocy statków nurkowych będziem gospodarować jak na własném podwórku.

Najwięcéj jednak zdumiewającym wyrobem fabrycznym, jest nadesłanie do Londynu listu z Ameryki pisanego na papiérze z żelaza, czyli blaszce najcieńszéj jaka dotąd przyrządzoną została, wynoszącéj grubości zaledwie ⌊tysiączną część cala. Pomimo użytego na nią materjału, list ważył tylko dwa razy tyle co arkusz zwyczajnego papiéru, i wybornie go zastępował.

Jeżeli upowszechnieniu tego fabrykatu cena nie stanie na przeszkodzie, to można się spodziewać, że wkrótce żelazo zastąpi papiér we wszystkich jego zastosowaniach, a papier obrócony zostanie na wyroby żelazne. Byłby to rzeczywiście tryumf prawdziwéj cywilizacji.

Nowości muzyczne.

Zbiór ulubionych śpiewów zebranych przez W. Troszla nakładem G. Sennewalda.

41. *Nieszpory Sycylijskie* Verdi, *O przemów*, przekład z włoskiego Chęcińskiego złp. 1 skala od *h* do *f*. Piękny romans Joanny a właściwie Heleny z Aktu 4 napisany w orginale w tonie G miękkie, tu transponowany o cały ton niżéj a więc w *F* z opuszczeniem kilku taktów ostatnich i kadencji. Pochwalamy to zupełnie, bo co dobre na scenie nie zawsze stosowne dla uczących się.

42. *Arja Leonory z Trubadura* Verdi, znana przez wszystkich od dawna, *Już zamilkł gwar*, złp. 2 skala od *cis* do *fis*.

43. *Arja z Tannhausera* przekład Chęcińskiego, *Gwiazdo coś błysła* złp. 2. skala od *b* do *e*. Imie Wagnera od dawna obudziło interes w miłośnikach sztuki, ale gdy jedni napadli na niego z gwałtownością nie dającą się opisać, drudzy apoteozując go za życia wynosili pod niebiosa, nazywając dumnie muzykę jego, przyszłością muzyki. Zdaje się że obie strony błądzą po manowcach nie chcąc iść prostą drogą. Nie możemy tu wdawać się w ocenianie prac poprzednich Wagnera, to tylko powiémy, że najlepszą przysługą dla sztuki będzie bliższe obznajmienie się z jego utworami. Romans Wolframa obecnie wydany należy do piękniejszych ustępów téj opery. Tyle nowych zwrotów w harmonji, taka wspaniałość dykcji w recitatiwach i nader szczęśliwa myśl samego ustępu *ariozo*, że nawet najwybredniejszemu musi się podobać.

44. Wallace Maritana, romans ze słowami Chęcińskiego złp. 1 gr. 15 skala od *c* do *f*. Melodja gładka i płynna, obrobienie proste nie wymuszone, akompanjament nietrudny tworzy składną całość.

A. B.

ŁZY.

W okrutnych bólach
Matki skąpany,
Łzą powitałem
Świat mi nieznany;

A ciągłym jękiem,
Już od powicia,
Mówiłem matce
Że nie chcę życia!

Ale mi matka
Krzyż nałożyła...
Płacz mój i jęki
Uspokoiła.

Przyzwała radość,
Uśmiech na czoło...
I był mi rajem
Świat na około!...

Gdym czasem tylko
Patrzał w niebiosy

Łzy mi płynęły
Słodsze od rosy...

Matka pytała:
Pieszczotku mały,
Czemu twarz twoją
Łezki oblały?

Nie wiem dla czego,
Ja jéj mówiłem
Coś serce boli
I zatęskniłem...

Choć mi tak dobrze
Tu koło Ciebie,
Chciałbym się bawić
W tém pięknem niebie.

Wskaż mi, najdroższa,
Którędy droga
Do jasnych gwiazdek
I Ojca, Boga?...

O mój jedyny,
Chcąc dojść do Nieba,
Tutaj na ziemi
Dobrym być trzeba...

Potrzeba ludzi
Kochać jak braci,
A pięknem niebem
Bóg ci zapłaci...

Ach! będę kochać
Serduszkiem całem!
I łzą miłości
Słodko płakałem...

A patrząc na mnie
Mateczka miła,
Z łzawym uśmiechem
Błogosławiła...

Takie to były
Dziecięcia losy
I łzy perełki
Słodsze od rosy!

Jedna zła chwila
Wszystko przecięła,
I wszystko moje
Mogiła wzięła.

Kiedy okryli
Matkę całunem,
Łzy mię oblały
Gorzkim piołunem!

I znikła radość,
Przyszła tęsknota...
Ludzie szeptali:
Biédny sierota!

Ach! twarde było
Sieroty łoże...
Było nad siły
Karanie Boże!

Lecz czas zielenią
Mogiły stroi,
Czas i najcięższe
Rany zagoi...

Na mojéj drodze
Smutnéj, ciernistéj,
Stanął aniołek
Boży przeczysty.

I rzekł: daj rękę,
Ja cię powiodę,
Nakarmię szczęściem
Twe serce młode,

I doprowadzę
Ścieżki znanemi,
Kędy kraj marzeń
Z dumki złotemi...

Ukląkłem korny
Przed Bożą mocą,
I pokochałem
Duszą sierocą!

Dwa serca bratnie
W jedno się zlały!
I zakwitł dla mnie
Szczęściem Świat cały...

I nieraz, nieraz
Pytałem siebie:
Czy téż anioły
Szczęśliwsze w niebie?

Jedna zła chwila
Wszystko przecięła...
I wszystko moje
Mogiła wzięła!

Usłałem trumnę
Lubéj kwiatami,
I zapłakałem
Trucizną, łzami!

I znikła radość,
Przyszła tęsknota,
Ludzie szeptali:
Biedny sierota!

Ach! twarde było
Sieroty łoże!
Było nad siły
Karanie Boże!

Józef Moroz.

ROZMAITOŚCI.

Powodzie w Holandji. Komu brak energji i silnéj woli, kto nie wierzy w potęgę pracy tworzącéj niemal cuda i trwoży się na lada podmuch choćby najmniejszych przeciwności, niech bierze przykład z Holandji, a nabierze ufności w siły, których nie umiał użyć stosownie.

Holandja cała składa się z równiny spuszczającéj się ku morzu Niemieckiemu, mającéj podstawę zwirowatą, wysysającą z gruntu wierzchniego wilgoć z niezmierną łatwością. Ponieważ w podobném położeniu, przystępu morza nic nie wstrzymuje, a sama płaszczyzna w wielu miejscach zapada się w tak wielkie i obszerne niziny, że te znajdują się znacznie niżéj od poziomu oceanu, wybudowano więc tamę olbrzymią, wstrzymującą zalewy i odpychającą burzliwe fale do granic oznaczonych im przez człowieka. Dla miękkich, wiotkich charakterów nie umiejących stawić śmiałego czoła trudnościom, przedsięwzięcie podobne zdawałoby się szaleństwem, ale Holendrzy znając handlowe korzyści z sąsiedztwa morskiego, nie zrazili się niczém i wybudowali tamę, na którą kamienie i kloce drzewa musieli prowadzić z daleka, bo Holandja ani lasów ani kopalni kamiennych nie posiada.

Stanęła więc tama, ocean jak dziki rumak dostał wędzidło, i w rozhukaniu swém musiał się ugiąć przed wolą człowieka. Ale na płaszczyznie tworzącéj Holandją, wzniesienia po nad nizinami, stanowiły zaspy piaszczyste, które ocean w burzliwych dąsach od czasu do czasu wichrem poruszał, i gnał tumany na urodzajne grunta, grożąc zasypaniem wielu miejscowościom. Trzeba więc było zaspy uwięzić w okowach przemysłu ludzkiego, i stanęły na nich plantacje leśne, które z czasem rozwinąwszy się w potężne sosny, tylko szumem gałęzi odpowiadają na ryk wściekłych uraganów. Piasek został nieruchomy, i pod zaklęciem pracy ludzkiéj wiecznie takim pozostanie o ile wszystko na tym świecie wieczném jest i niewzruszoném. Nadto gruntowi suszonemu przez pokład zwirowy, trzeba koniecznie było dać wodę, jako warunku niezbędnego w kulturze rolniczéj: kraj więc cały poprzerzynano kanałami, i znowu zmuszono ocean do napełniania ich przez śluzy, ale nie dla niszczenia kraju, tylko dla jego korzyści, aby wodami swemi zasilał roślinność i tym sposobem przynosił korzyść i bogactwo.

Nad naturą więc, potrójne odniesiono zwycięztwo, i śmiało usadowiono się pod powierzchnią oceanu, który w chwili ciszy, buja falami swemi po nad polami, ogrodami i domami wytrwałych i pracowitych Holenderczyków, warcząc tylko z gniewu w próżnych o tamy uderzeniach.

Olbrzyma jednak tego morskiego, choć skowanego i upokorzonego, czujne oko Holenderczyka strzeże i pilnuje z największą bacznością. Straż dniem i nocą czuwa na tamach, śledząc najmniejsze zmiany powietrzne, i jak tylko grozi niebezpieczeństwo wtargnięcia gdzie w jakim punkcie niszczącego żywiołu, natychmiast dają sygnały do zamknięcia śluz, wodę do kanałów prowadzących i ratowania się ucieczką. W ówczas dzwony z jękiem ogłaszają straszną nowinę, krzyki przerażenia podnoszą się ze wszystkich stron, każdy przenosi na łódź co ma najdroższego, i cała Holandja porusza się jak obóz zbudzony utarczką czat swych przodowych. Do ucieczki téj jednak należą tylko chorzy, kobiéty i dzieci, zdolni zaś do pracy, gromadzą się tam gdzie przerwała się zapora, i pracując bez przerwy dniem i nocą, dopóki naprawiona tama nie odepchnie oceanu do właściwych granic. Wypadki podobne zdarzają się prawie corocznie, i więcéj straszą jak szkodzą, ale w przecięciu w przeszłości, co lat 25 zdarzyły się regularnie mniejsze zalewy, co lat zaś 120 wielkie i straszliwe, w których ginęło po kilkadziesiąt wsi i po sto tysięcy ludzi. Ostatni zalew przypadł w r. 1825 w dniu 3 i 4 Lutego, i w tedy przeszło trzydzieści wsi zalała woda o osób miało zginąć 52,000. Klęski jednak te tak często się ponawiające, w niczém nie osłabiają energji Holenderczyków. Umiarkowani, wstrzemięźliwi pracowici, oświeceni, skromni, gardzący zbytkami i bezpożyteczném marnowaniem czasu, z częściowych powodzi ratują się stowarzyszeniami i szlachetném ziomków współczuciem; w większych dotykających ogół, pracą i wytrwałością. Szczególniéj zamiłowa-

ni w czystości, kwiatach i różnych osobliwościach, pracę w jakiéj pożytecznéj rzeczy, często rozkładają na lata długie, przekazując w spadku dzieciom i wnukom.

W roku 1198 odkryto tu nadspodziewanie pokłady węgla kamiennego, w roku zaś 1416 Jan Beukels rybak flamandzki, wynalazł sposób solenia i pakowania śledzi. Węgiel dla Holandji stał się prawdziwą kopalnią złota, a sąsiedztwo morza z miljardami śledzi, niewyczerpaném nigdy bogactwem.

O UBIORACH.

W czasie odwilży zamiast salop futrzanych, najwięcéj widzieć się daje rozmaitych okrywek. Pomiędzy temi zwróciły uwagę naszą rotondy z tkaniny popielatéj, z długim kręconym włosem, naśladującéj siwego baranka. Noszą takież same krótkie paltociki, spięte na rząd wielkich czarnych guzików. W ogólności mówiąc, więcéj widać paltotów niż rotond, gdyż są daleko cieplejsze i praktyczniejsze na zimę. Paletoty z czasów Ludwika XV, należą w tym roku do najmodniejszych. Widzieliśmy takie wełniane ciepłe w kolorze ciemno-fijołkowym i granatowym; obszyte były w koło grelotkami z wełny tegoż samego koloru, spinały się na dwa rzędy guzików czworograniastych, rytych na stali. Guziki takie powszechnie dziś używane. Długość paletota średnia, przody proste, założone jeden na drugi; plecy wcięte, poniżéj stanu wpuszczone dwa głębokie fałdy, po bokach dwie wielkie kwadratowe kieszenie, z czasów Ludwika XV, rękawy wolne z szerokiemi wyłogami.

Po magazynach tutejszych znajduje się wiele paletotów okładanych popielatym i czarnym futerkiem; mnóstwo téż widzieliśmy paletotów w sklepie pana Dziechcińskiego z kołnierzami i pelerynkami obszyte frendzlą z grelotkami. Cena ich wynosi po złp. 166 gr. 20.

Kaftaniki do pokoju bez rękawów, coraz więcéj zaczynają się upowszechniać. Robią je z aksamitu lub sukienka i okładają wązkim futerkiem. Pod spód kładzie się koszulka fularowa biała lub kolorowa, z szerokiemi rękawami zamkniętemi u ręki. Do strojniejszego ubrania noszą kaftaniki z materji takiéj saméj jak suknia, okładane gronostajem albo puszkiem łabędzim. Pod spód koszulka koronkowa lub muślinowa garnirowana koronką. Suknie takie *poult de soie* szafirowe, z kaftanikami bez rękawów, garnirowane puszkiem najmodniejsze są téj zimy.

Kołnierzyki płócienne do mniejszego ubrania ciągle używane niektóre z nich obszywają walansienką, lub gipiurą Irlandzką. Forma ich zawsze taż sama: stojące z wykładanemi po bokach rożkami albo też małe wykładane, z przedłużonemi na przodzie końcami.

Do najmodniejszych koszulek należą cienkie płócienne złożone ze wstawek gipiurowych, i pasków z płótna tejże szerokości. Kołnierzyk u nich wyłożony, obszyty gipiurą, rękawy długie wszyte w mankiet złożony z takichże wstawek dawanych w podłuż.

Uważaliśmy także koszulki półbatystowe w formie kamizeleczek, w zakładki podłużne albo poprzeczne Z przodu idzie wstawka haftowana, obszyta z obu stron walansienką tworzącą żabot. Mankiety u rękawów odpowiednie w zakładki, wygarnirowane są również walansienką.

Suknie tak jedwabne jak i wełniane, gładkie haftowane u dołu kordonkiem jedwabnym czarnym, lub tegoż samego koloru jak suknia, stanowią nowość tegoroczną. Szlak u dołu wązki, podnosi się w środku każdego bryta, i tworzy wysoką piramidę. Stanik i rękawy, stosownie bywają haftowane.

Obok tych sukien zbyt kosztownych widać wiele gładkich jedwabnych, bez żadnego haftu ani garnirowania. Całą ich ozdobę stanowi sznur naszyty u samego dołu, gruby na palec. Widzieliśmy taką suknię z fijołkowéj gładkiéj materji, powłoczystą, szeroką zakończoną grubym jedwabnym sznurem. Stanik gładki z podwójnym roztwartym bawetem, i maleńką z tyłu baskiną spinał się na guziki szmuklerskie. Rękawy wązkie o tyle otwarte żeby ręka przejść mogła, podszyte były białą materją, i wygarnirowane w środku białą szczoteczką. Z wierzchu u ręki wyszyty był grubym sznurem jedwabnym węzeł, od którego spadały dwa kwasty. Takiż sam węzeł z kwastami, tworzył epolety na ramionach.

Uważalismy także suknię czarną jedwabną, w atłasowo podłużne paseczki. Nad obrębem szły dwie falbanki z gładkiego *poult de soie*, naszyte w zęby, objęte aksamitką czarną, i przytwierdzone w górze aksamitką, bez wypuszczonéj główki. Spódniczka osobna, obciśnięta była w stanie szerokim pasem, spiętym na wielką emaljowaną klamrę. Miejsce stanika, zastępował kaftanik Hiszpański, z zaokrąglonemi u dołu przodami, ogarnirowany falbaneczką. Rękawy wązkie kończyły się takąż falbanką u ręki, na ramionach falbanka tworzyła epolet. Pod spód szła muszlinowa szmizetka, z żabocikiem koronkowym i małym wyłożonym kołnierzykiem, ogarnirowanym stosownie.

Kapelusze zimowe aksamitne, mają formę chuste-

czki. Karczek u nich zastąpiony szeroką koronką. Uważaliśmy jeden bardzo ładny, haftowany rzniętemi pacioreczkami z lawy. Woalik czarny miał rzucik zasiany takiemiż paciorkami. Podpięcie z bratków aksamitnych dopełniało całości.

Nowości Zagraniczne.

Kapelusze tegoroczne odznaczają się niezwykłą prostotą. Są to po prostu rogówki aksamitne lub atłasowe, przybrane piórkiem orlem albo kruczem, czasami pęczkiem piórek sroczych lub pawich. Do wielu z nich wpinają z boku całego ptaszka.

Z pomiędzy kapeluszy wizytowych, widzieliśmy ładny fanszonik aksamitny czarny, przybrany kitką z piórek i inny biały aksamitny, ozdobiony kwastami z białéj sieczki i blondyną. Inny kapelusik lilla atłasowy miał z boku wpięte krucze skrzydło. To ostatnie należy w tym roku do najmodniejszych ozdób.

Maleńkie ptaszki różnego rodzaju i kształtu, wpinają do kapeluszy, czepków, stroików, a nawet pomiędzy utrefione włosy. Jest to w tym roku panująca moda.

Sławny fryzjer *Seigneur*, wymyślił nowy układ włosów *à la Niobe*. Nad czołem rozchodzą się płaskie nioby nad któremi przechodzi do koła warkocz, zakończony z tyłu drobnemi loczkami spadającemi na szyję.

Do wyjścia na ulicę noszą w tym roku bardzo spódniczki z lekkiego korciku, w kolorze popielatym, fijołkowym lub granatowym, obłożone nad obrębem, wązkim paskiem baranka czarnego. Paletocik obłożony odpowiednio dopełnia ubrania. Zamiast prawdziwego baranka krymskiego używają także tkaniny z kręconym włosem, naśladującéj skórkę barankową.

Okrywki przybrane futrem bardzo używane téj zimy. Aksamitne zdobią rulonem lub obłożeniem z tumaków i szenszyli, wełniane zaś barankiem krymskim. Wiele także widać paletotów przybranych na każdym szwie pasmanterją mięszaną z paciorkami.

Co się tycze długości paletotów i wszelkich okrywek, moda nic stanowczego nie wyrzekła w tym względzie. Niektóre osoby noszą je bardzo krótkie, lub téż przesadzonéj długości, co do nas zalecamy trzymać się w okrywkach miary średniéj.

Do wyjścia z teatru lub wieczoru, powszechnie przyjęto fanszoniki trykotowe z włóczki białéj, objęte puszkiem łabędzim.

Kaftaniki z zaokrąglonemi i otwartemi przodami ciągle się utrzymują. Do ubrania noszą pod nie szmizetki koronkowe, lub muszlinowe wygarnirowane walansienką. Na codzień używane powszechnie koszulki kaszmirowe, wyszyte perskim szlaczkiem, albo fularowe lub téż kamizelki z rozmaitych materjałów.

Kołnierzyki noszą zawsze małe płócienne lub batystowe, obszyte walansienką, podwiązane małym krawacikiem.

Czepeczki katalanki, coraz więcéj zaczynają się upowszechniać. Na codzień robią je muszlinowe, ogarnirowane koronką, podpięte nad czołem pukielkami z aksamitki, na wieczór blondynowe przybrane kwiatami.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia fijołkowa jedwabna. Dwie spódnice obszyte potrójnym sznurem. Z wierzchu spódniczka podpięta na każdym brycie kokardą szmuklerską z kwastami. Stanik z wielką baskiną. Rękawy ścięte do łokcia, epolet z pasmanterji. Kapelusz aksamitny przybrany piórami i koronką.

Figura 2. Suknia *poult de soie* zielona, szeroki szlak w zęby odpasowany u dołu. Stanik czarny w kształcie fraka, ogarnirowany ruszą, podbity zieloną materją. Kapelusz czarny aksamitny, przybrany zieloną wstążką i koronką. Kołnierzyk batystowy karbowany, rękawki z odpowiedniemi mankietkami.

Figura 3. *Ubranie dziewczynki.* Sukienka popelinowa w rzucik. Spódniczka obszyta u dołu szeroką plisą szafirową, po obu stronach przodu wyłogi jedwabne, przechodzące przez spódniczkę, stanik i ramiona. Przód stanika spięty na klapki. Koszulka muślinowa z rękawkami, ogarnirowana w górze walansienką. Toczek aksamitny szafirowy z białem piórkiem.

KORRESPONDENCJA.

Pani A. Marcin. Do prenumeraty Tygodnika brakuje złp. 1 gr. 20. — Pani Michalinie Dorożyń. Do prenumeraty półrocznéj jeszcze się należy złp. 7. List pani i złp. 26 gr. 20 odebraliśmy 24-go b. m. posyłka odeszła w pierwszych dniach Stycznia.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Tygodnika Mód *).

Warszawa dnia 16 (28) Stycznia 1865 roku.

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

(Dalszy ciąg).

AKT I.

SCENA VI.

BAUDRY, OLIVIER.

BAUDRY.

Jesteśmy sami, powiedz dla czego mnie unikasz.

OLIVIER.

Ja pana nie unikam.

BAUDRY. (*z ironią.*)

Tak, a nawet po pięciu miesiącach niewidzenia nie uściskałeś mnie nawet!...

OLIVIER.

Opiekunie mój drogi, (*Rzuca się w jego objęcia*).

BAUDRY.

No, a teraz pomówmy. Masz zmartwienie.

OLIVIER.

Mówiono panu?

BAUDRY.

Mówiono mi, że wątpisz o świecie, że nie jesteś już doktorem, że pragniesz się wzbogacić, że się stałeś bardzo złośliwy. Otóż są dwa rodzaje złości, jedna właściwa złym ludziom, druga właściwa dobrym. Ta wypływa z cierpienia. Gdzież twój ból?

OLIVIER.

Nigdzie!...

BAUDRY.

To jest wszędzie. Choroba ważna! dla czego chcesz być bogatym?

OLIVIER.

A gdyby tylko dla tego, żebym mógł wypłacić się panu.

BAUDRY.

Niewdzięczny!

OLIVIER.

O! ja nie mówię żebym potrafił wypłacić się pieniędzmi! to coś pan uczynił dla mnie, niczem zapłacić się nie da. Byłeś mi starszym bratem, więcéj niż to! brat związany węzłem krwi, mnie miałeś prawo zostawić na bruku. Jeżeli w życiu mojém, jakimkolwiek czynem lub myślą, przepomnę wdzięczności, przeklęty czyn ten! przeklęta myśl! tak jest! byłbym ostatnim niewdzięcznikiem, gdybym ci powiedział; wsparłeś mnie, wychowałeś, ukochałeś! to wynosi tyle a tyle, twoja dobroć, twoje serce, tyle a tyle warte. Oddaję dług, nie ma rachunku między nami. Ależ na moje wychowanie łożyłeś cós więcéj prócz samego uczucia. Teraz więc, kiedy z łaski twojéj, mogę zapracować więcéj niż mi potrzeba, nie weźmiesz mi za złe, jeślibym pragnął wywiązać się w dwoisty sposób, zwracając uczucie uczuciem, a pieniądze pieniędzmi.

BAUDRY.

Nic mi nie jesteś winien; nie będę ci jednak wyrzucał zbytecznego skrupułu. Mało cenię pieniądze, pozwalam więc, abyś je zwrócił, gdy okoliczności pozwolą. Chcesz żebym był twoim wierzycielem, będę nim! ufam ci zupełnie, rozpocząłeś dobrze swój zawód, idź dalćj tąż samą drogą. Zapłacisz mi dług z oszczędzonego dochodu, przez jedenaście lat łożyłem na ciebie; za lat jedenaście zwrócisz mi należytość. Życzę ci powodzenia.

OLIVIER.

Ja nie mogę czekać tak długo.

BAUDRY.

A więc masz inny powód. Mów jaki?

OLIVIER.

Nie pytaj mnie pan oto.

(*) Dodatek ten powtórnie przedrukowany dodaje się dla nowych prenumeratorów, którzy początku dramatu Jan Baudry nie czytali.

BAUDRY (*biorąc go za obie ręce.*)

Ta rzecz na którą potrzebujesz pieniędzy, ja ci jéj dać nie mogę?

OLIVIER.

Nie!

BAUDRY.

Musi być bardzo droga. Policzym ją w rachunku, oddasz mi wszystko razem.

OLIVIER.

Nie podobna! to za wiele kosztuje.

BAUDRY.

Ileż naprzykład?

OLIVIER.

Trzeba na to majątku.

BAUDRY.

I nie możesz czekać? czy myślisz że majątek wyrasta z ziemi?

OLIVIER.

Czasami!

BAUDRY.

Tak kiedy go odziedziczamy po rodzicach lub krewnych.

OLIVIER.

Ja nie mam nikogo.

BAUDRY.

To nieprawda! tylko przez dziedzictwo przychodzimy z niczego do majątku.

OLIVIER.

Są jeszcze inne sposoby.

BAUDRY.

Tak jest. Ale i giełda wymaga pewnego nakładu.

OLIVIER.

Mam dwadzieścia tysięcy franków.

BAUDRY.

Wygrałeś je?

OLIVIER.

Pożyczyłem.

BAUDRY.

Jakto? chcesz je rezykować na bursie?

OLIVIER.

Nie, na bursie potrzeba zarazem szczęścia i pewnych kombinacyi, które nie zawsze się udadzą. Lepiéj zdać wszystko na los, zawierzyć mu ślepo, niech on sam za nas działa.

BAUDRY.

Chcesz grać?

OLIVIER.

A gdyby i tak?

BAUDRY.

A jeżeli przegrasz?

OLIVIER.

Tem gorzéj dla mnie.

BAUDRY.

I dla twego wierzyciela, a raczéj dla mnie.

OLIVIER.

Dla pana?

BAUDRY.

Tak jest. Nikt nie pożycza lekkomyślnie dwudziestu tysięcy. Twój wierzyciel mnie zna?

OLIVIER.

Tak.

BAUDRY.

Zna przywiązanie moje do ciebie, wié że jeśli przegrasz, ja zapłacę.

OLIVIER.

Pan nie zapłacisz, nie wspomnieliśmy nawet pańskiego nazwiska.

BAUDRY.

On cię zapozwie, otrzyma wyrok. Czy myślisz że pozwolę aby cię wtrącono do więzienia.

OLIVIER.

Jeżeli o to idzie, bądź pan spokojny. Zabezpieczę się od processu. Jak przegram....

BAUDRY.

Odbierzesz sobie życie. Nie masz do tego prawa. Twe życie jedyną daje rękojmię wierzycielowi twemu, nie do ciebie więc, lecz do niego należy. Śmierć twoja byłaby.... (*powstrzymuje się*) byłaby złym uczynkiem. Będziesz żył, wytoczą ci proces, ja zapłacę. A więc lichwiarz nastaje na moją kieszeń, a ty mu dopomagasz? Zastanów się dobrze, nie myśl abym w razie gdybyś przegrał i był ścigany, miał powiedzieć: „dobrze mu tak, nie słuchał mnie, niech cierpi!” nie, uprzedzam cię, że nie dam cię wtrącić do więzienia. A teraz graj jeżeli śmiesz! lecz rachuj na moją groźbę, że ciebie nie opuszczę!

OLIVIER.

Nadużywasz pan swéj dobroci.

BAUDRY.

Przystajesz na to?

OLIVIER.

Żądaj pan czego innego, a będę mu posłusznym.

BAUDRY.

Czyś zaciągnął pożyczkę?

OLIVIER.

Jeszcze nie, lecz za chwilę podpiszę weksel!

BAUDRY.

Nie! chwała Bogu, jeszcześ go nie podpisał. — I nie podpiszesz go, jestem pewny, pomówimy o tém, ale w téj chwili, muszę wracać do Hawru. Jak się załatwię, przybędę tu natychmiast. Daj mi słowo że bezemnie nic nie ukończysz.

OLIVIER.

Jeśli dziś nie podpiszę wekslu, jutro będzie zapóźno.

BAUDRY.

Znajdziesz innego wierzyciela.

OLIVIER.

Wszakże pan sam mówiłeś przed chwilą, że nie łatwo o wierzyciela, któryby pożyczył 20,000 franków.

BAUDRY.

Ten zaczeka! za dwa lub trzy dni powrócę niezawodnie.

OLIVIER.

Jak się nie zgłoszę do wieczora, inaczéj rozporządzi pieniędzmi.

BAUDRY.

Olivier, ja muszę wracać do Hawru, i to niezwłocznie muszę wracać, powtarzam. Nie możesz przypuścić, abym kochając cię, a widząc nad przepaścią, odjeżdżał ztąd spokojnie w chwili kiedy ty chcesz stawić na kartę, jedenaście lat pracy, twój zawód, wolność, dobre imie, sumienie! o! nie zmuszaj mnie żebym został, powtarzam ci, trzeba koniecznie abym jechał do Hawru, mam ważny obowiązek do spełnienia.

OLIVIER.

Jedź pan!

BAUDRY.

Otóż zostanę!

OLIVIER.

Po co? obecność pańska nie zmieni postanowienia mego.

BAUDRY.

O! tu, nie odstąpię cię ani chwili. Zamieszkam u ciebie, przecież mnie za drzwi nie wyrzucisz, rad nie rad musisz być ze mną, ponieważ nie jesteś już doktorem, nie potrzebujesz oddalać się ciągle z domu. Lecz nie, ty mnie nie zmusisz do téj ostateczności, słuchaj o to, błagam cię o dwa dni. Moje dziecię, nie mogę zdradzać cudzéj tajemnicy, powiem tylko, że idzie o honor przyjaciela. Nie dość że ci na tem? a więc idzie także i o mnie. Oh! nie wyjawię ci tego, czego sam przed sobą, jeszcze wyznać nie śmiałom. Nie wymagaj tyle odemnie. Ty przystajesz, wszak prawda? Nie? Olivier, wszakże mnie kochasz? (*Olivier ściska mu rękę*). A więc jeśli zostanę, stracę może sposobność do szczęścia. Odmów że teraz jeśli chcesz.

SCENA VII.

OLIVIER, BAUDRY. PANI GERVAIS, BRUEL, ADELA.

PANI GERVAIS. (*do Bruela*)

Dla kupna gruntów! jedźże więc sam, ja cię nie zatrzymuję. Ale czemu zabierasz mi Adelę, ona niebędzie przecież kupować ziemi.

BRUEL.

Kto wié, możeby lepiéj było żeby tu została jeśli chce.

ADELA.

Oh nie!

OLIVIER. (*na stronie*)

Woli jechać!

PANI GERVAIS.

Odprowadzę cię. —

ADELA.

Dziękuję cioci — jadę przecież z ojcem,

OLIVIER. (*na stronie*)

I uciekam od szaleńca, który mnie śmiał kochać.

BRUEL. (*do Baudrego*)

Jesteśmy gotowi.

BAUDRY. (*do Oliviera*)

Rzecz ułożona — nie prawdaż!

OLIVIER.

Nie!

BAUDRY.

Nie? (*do Bruela*) mój drogi, przybędę niedługo do Hawru.

BRUEL.

Jakto! nie jedziesz z nami? miałeś przecie nie opuścić mnie ani na chwilę.

BAUDRY.

Interes wielkiéj wagi...

BRUEL.

Już?

BAUDRY.

Czyżbyś myślał...

BRUEL.

Ja nie myślę nic — chodź Adelo!

ADELA.

Do zobaczenia cIociu.

PANI GERVAIS.

Odprowadzę cię do powozu.

OLIVIER.

Więc pani w żaden sposób nie chce pozostać z ciotką.

ADELA.

Nie mogę opuścić ojca mego — żegnam pana.

OLIVIER.

Do widzenia.—

ADELA.

Żegnam.

BRUEL (*do Adeli*).

No! jedźmy.

ADELA (*do ojca*).

A pan Baudry?

BRUEL.

Pan Baudry zostaje.

BAUDRY.

Tak, ale pospieszę niedługo — jutro — może nawet dziś w nocy.

BRUEL.

Nie spiesz się pan tak bardzo — każdy żyje dla siebie.

BAUDRY.

Bruel!

BRUEL.

Co?

BAUDRY.

Olivier, błagam cię.

OLIVIER.

Nie!

BRUEL (*do Baudrego.*)

No i cóż?

BAUDRY.

Niepodobna.

BRUEL (*do Adeli*).

Jedźmy więc (*wychodzi z Adelą i panią Gervais*).

BAUDRY (*do Oliviera*).

Drogo mnie to kosztuje, że cię kocham!

KONIEC AKTU 1-go.

Dalszy ciąg następuje w Dodatku do N-ru 2-go.

Dodatek do Nru 4 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 16 (28) Stycznia 1865 roku..

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

(*Dalszy ciąg*).

A K T III.

SALON.

SCENA I.

Wchodzą: ADELA, BAUDRY, BRUEL — potem OLIVIER — nakoniec BARENTIN.

BAUDRY.

Wypijmy kawę tu, przy otwartych oknach. Jakiż to cudny wieczór! Adelo, patrz jak księżyc odbija pięknie w morzu. O! nieraz miałem przed oczyma ten obraz; ale wtedy sam na niego patrzałem. Jak to miło patrzéć we dwoje! Olivier chodź tu do okna.

OLIVIER.

Widzę ztąd.

BAUDRY.

Przy tobie nie potrzebuję ukrywać myśli mojéj. Jestem szczęśliwy! Jakże wam podziękuję wszystkim trojgu. (*do Oliviera*) Powiedziałeś że nie masz żalu do mnie.

OLIVIER.

Do ciebie panie, nigdy go nie miałem.

BAUDRY.

I żeś zaniechał tych złych myśli powziętych w Paryżu.

OLIVIER.

Tak, zupełnie.

BAUDRY.

Drogi Olivier! (*powracając do Adeli która została przy oknie*) Jaka cisza! drzewa ani się poruszą, jakby spały. Czy słyszysz? to słowik! Jak on dziś ładnie śpiewa! (*do Bruela*) Z czego się śmiejesz?

BRUEL.

Śmieję się, bom wesół, a potem myślę o pani Gervais. (*do Adeli*) Czy pewna jesteś że list twój oddany na pocztę.

ADELA.

Włożyłam go sama do pudełka.

BRUEL.

Wreszcie i ja pisałem do niéj. Ani słówka odpowiedzi. Jutro ślub twój, a nie wiemy nawet czy przyjedzie.

BAUDRY.

Jak pan tłomaczysz sobie jéj milczenie?

BRUEL.

Roztargnieniem, gotowa myśléć że nam odpowiedziała. Spadnie tu jak burza dziś wieczór lub jutro rano; wyłaje mnie żem nie pospieszył naprzeciw niéj na koléj. Zostawię ją w błędzie! Jak spostrzeże iż mi nie odpisała, będzie mi to wyrzucać przez pół roku.

BAUDRY.

Tobie!

BRUEL.

Tak jest, moja siostra taka! podobno to wszyscy tém grzeszą. Kto z nas nie gniewa się na drugich, za winy względem nich popełnione? kto przebacza złe, którego sam jest sprawcą? Ha! otóż kawa. (*Barentin wchodzi z tacą*). Słuchaj Barentin, czy złodzieje okradną nas téj nocy.

BARENTIN.

Pan żartuje, ale przecież złodzieje są na świecie.

BAUDRY.

I tchórzów nie brakuje także.

BARENTIN.

Alboż to nigdy rozbójnicy, nie wchodzili nocą do domów? Niechże pan przeczyta gazetę.

BAUDRY.

Adelo! czy chcesz nalewać kawę? (*Adela podaje filiżankę naprzód ojcu potém Baudremu.*)

BARENTIN (*cicho do Baudrego*).

Czy pan pamiętał?

BAUDRY.

Ah! prawda panno Adelo, zapomniałem dopełnić polecenia jakie mi dał Barentin. Chciał jutro przygotować ci niespodziankę, ale że nie zna jeszcze twego gustu, prosił abym zapytał co ci sprawi największą przyjemność?

BARENTIN.

Tak pani.

ADELA (*z uśmiechem*).

Powiem ci Barentin ale późniéj.

BARENTIN.

Wypełnię rozkaz pani. (*odchodzi*).

ADELA (*podając filiżankę Olivierowi*).

Panie!

OLIVIER.

Dziękuję, nie piję wcale.

BAUDRY.

Czemu nie pijesz kawy? taka doskonała! Prawda że teraz wszystko dla mnie wyborne. Pijże więc. (*Olivier zbliża się do stołu i nalewa kawę*). Patrz, panna Adela nalała już dla ciebie.

OLIVIER.

Ach prawda. (*nalewa ciągle*).

BRUEL.

Jaka to dobra rzecz kawa!

BAUDRY.

Jaka to rzecz dobra życie! Szkoda że Hawr nie jest w Paryżu, i że potrzeba wielkiego miasta, aby zapewnić wielką przyszłość Olivierowi. Żylibyśmy tu we czworo. Za to będziemy często jeździć do Paryża. Nie prawdaż Adelo? Serce moje nie może objąć całego swego szczęścia, lękam się czy go nie mam za wiele, czym kogo nie pokrzywdził.

BRUEL.

Nie mnie przynajmniéj, bom i ja prawie szczęśliwy. Mój Boże! cóż to za różnica dziś a dziewięć dni temu! Wtedy urągano mi, znieważano Adelę, teraz wierzyciele zaspokojeni kłaniają mi się z poszanowaniem na ulicy; Adela jutro idzie za tego, którego pragnąłem widzieć zięciem w najświetniejszych moich chwilach, za najlepszego przyjaciela, za człowieka doskonałego.

BAUDRY.

Bruel!

BRUEL.

Tak, doskonałego powtarzam.

BAUDRY.

Nikt nim nie jest.

BRUEL.

Oprócz ciebie.

BAUDRY.

Nikt. Widzisz mnie w pięknéj chwili. Jestem szczęśliwy. O! wtedy wszystko łatwo. Przyznaję że jestem bardzo dobry w téj chwili.

BRUEL.

Radbym wiedzieć kiedy nie byłeś dobrym.

BAUDRY.

Kiedym cierpiał. Miałem ciężkie godziny, w których inny byłem niż teraz. Każdy człowiek ma w sobie złe i nikt nie może wiedziéć coby w nim sprawiła wielka boleść.

BRUEL.

Co mam sobie łamać nad tém głowę. Wiem tylko, że jestem szczęśliwy, i żem ci wszystko winien.

BAUDRY.

Dziękuję ci za to. Powiedzcie mi żeście wszyscy szczęśliwi. Serce moje potrzebuje tego koniecznie.

BRUEL.

Wszyscyśmy szczęśliwi — wszak prawda Adelo?

ADELA.

Co do mnie jestem szczęśliwa. (*Olivier idzie do stołu i nalewa kieliszek*).

BAUDRY.

Szczęście dla tego tak rzadkie, że jest między ludźmi solidarność, z któréj nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Jakkolwiek szczęśliwi sami, cierpiemy jeszcze patrząc na boleść drugich.

BRUEL (*do Oliviera*).

Co ty pijesz tak chciwie.

OLIVIER.

Nie wiem, myślę że to wódka.

BRUEL (*nalewając*).

I tyś także szczęśliwy... świadek? (*kieliszek pęka w ręku Oliviera*). Cóż to?

BAUDRY.

Co ci się stało?

OLIVIER.

Nic. Kieliszek stłuczony.

BAUDRY.

Co widzę? krew!

OLIVIER.

Może być. Drasnąłem się szkłem. Pójdę opatrzyć rękę. (*wychodzi*)

BRUEL.

Jest u mnie na kominie plasterek angielski. Zanieś mu go Adelo.

ADELA.

Dobrze ojcze. (*wychodzi*).

SCENA II.

BAUDRY, BRUEL.

BAUDRY.

Jakim sposobem stłukł się ten kieliszek?

BRUEL.

Nieuwaga. Twój Olivier sam dziś nie wié co robi.

BAUDRY.

Olivier?

BRUEL.

Przed chwilą nie wiedział że pije wódkę, teraz znowu tłucze kieliszek.

BAUDRY. (*patrząc na tacę*)

Nie przyjął filiżanki którą podała mu Adela. Czyżby oni źle byli z sobą?

BRUEL.

Źle?

BAUDRY.

Od dziesięciu dni nie widzę nic, nie wiem co się wkoło mnie dzieje; żyję w dziwném olśnieniu. Czyś ty nic nie uważał?

BRUEL.

Nic a nic.

BAUDRY.

Jakże oni byli z sobą w Paryżu?

BRUEL.

Dzień tylko jeden byłem z niemi.

BAUDRY.

Pani Gervais lepiéj nas w tém objaśni.

BRUEL.

Jeżeli przyjedzie.

BAUDRY.

Wielebymcierpiał nad tém gdyby byli źle z sobą.

BRUEL.

Cierpiałbyś? Albożty się go boisz?

BAUDRY.

Lękamy się zawsze tych których kochamy.

BRUEL.

Więc go tak bardzo kochasz? Przyznaj się mój drogi, czemu nie chcesz mi powiedzieć, kto jest ten Olivier.

BAUDRY.

Mówiłem ci już.

BRUEL.

Wiem że jest sierotą, żeś go wychował i przywiązał się do niego. Niedawno zostałeś w Paryżu z jego przyczyny mimo przyjaźni dla mnie i uczucia twego dla Adeli. Widać ztąd jak mocno go kochasz.

BAUDRY.

Kiedym go poznał, jego tylko miałem do kochania. Był dla mnie prawie synem.

BRUEL.

Prawie?

BAUDRY.

Tak jest.

BRUEL.

Pomówmy z sobą otwarcie, wszak tu nie ma Adeli.

BAUDRY.

Jak najchętniéj.

BRUEL.

Wiele ma lat Olivier?

BAUDRY.

Ma lat dwadzieścia dwa.

BRUEL.

A ty?

BAUDRY.

Czterdzieści sześć!

BRUEL.

Czy nie miałeś brata ani siostry?

BAUDRY.

Do czego prowadzisz?

BRUEL.

Posłuchaj mnie. Chłopiec dwudziesto-dwu letni, którego się wychowuje i przypuszcza do rodziny, jeżeli nie jest synowcem, musi być bliższym jeszcze.

BAUDRY.

Gdybym był ojcem Oliviera, panna Adela wiedziałaby o tém.

BRUEL.

Któżby jéj to powiedział?

BAUDRY.

Ja sam.

BRUEL.

Czy tak?

BAUDRY.

Przysięgam ci na miłość moją do ciebie. Czyż tylko związki krwi mogą mieć dla nas wagę?

BRUEL.

O! ja nie mówię tego; kocham cię przecież bardziéj niż wszystkich krewnych, bo uczucie wdzięczności łączy mnie z tobą najsilniejszym węzłem.

BAUDRY.

Kochany Bruel.

BRUEL.

Ty nie możesz mieć jednak wdzięczności dla Oliviera.

BAUDRY.

Przeciwnie winienem mu wdzięczność do grobu.

BRUEL.

Więci ci oddał ważną posługę?

BAUDRY.

Nie oddał mi żądnéj.

BRUEL.

I za cóż mu jesteś wdzięcznym?

BAUDRY.

To moja tajemnica.

BRUEL.

Próżnobym sobie łamał głowę. Wdzięczność bez odebranéj posługi? doprawdy nie rozumiem.

BAUDRY.

To zależy od tego jak rozumiemy posługę.

SCENA III.

BRUEL, BAUDRY, BARENTIN.

BARENTIN.

List do pana Bruel. (*oddaje list do Baudrego*) Panie, jubiler czeka.

BRUEL. (*grożąc*)

Unikaj niepotrzebnych zbytków mój drogi (*patrząc na list*) Ha przecie!

BAUDRY.

Od pani Gervais?

BRUEL.

Tak jest.

BAUDRY.

No i cóż?

BRUEL.

Przyjeżdża. (*śmieje się na głos*) Dziwna rzecz, nic nie wié o ślubie.

BAUDRY.

Jakim sposobem?

BRUEL.

Nie odebrała wcale naszych listów. Czy wiesz zkąd pisze? Z Bayeux gdzie przepędziła tydzień u przyjaciółki. Chce nas odwiedzić po drodze. Dziwny wypadek sprowadza ją tu dzisiaj.

BAUDRY.

Idę do jubilera; dosyć że będzie, mniejsza w jaki sposób.

SCENA IV.

BRUEL potem ADELA.

BRUEL. (*woła*)

Adelo! (*Adela wchodzi*) Twoja ciotka przybywa, musiémy wyjechać naprzeciwko.

ADELA.

Na koléj?

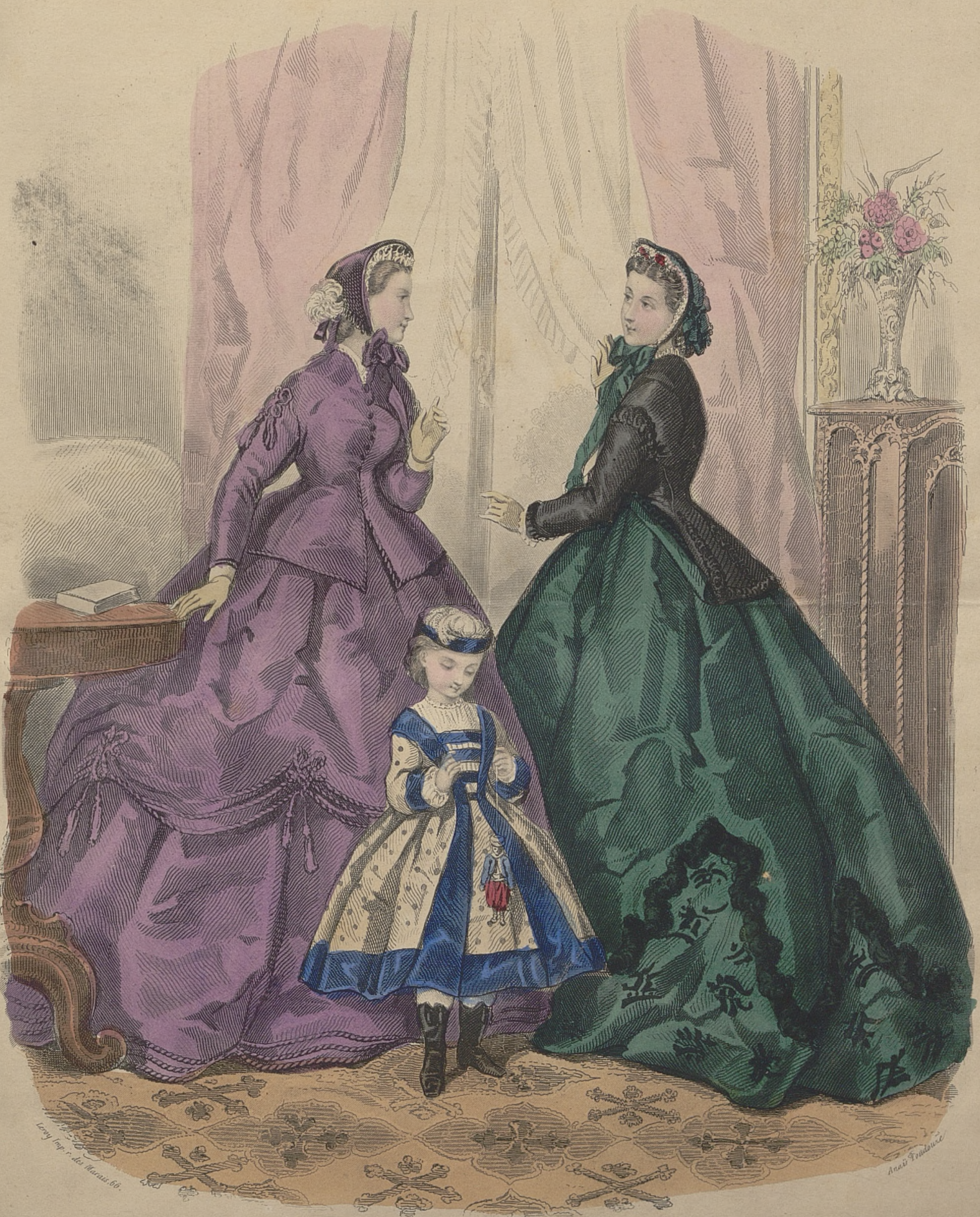
BRUEL.

Nie, do portu. Przypływa statkiem z Honfleur. Wytłumaczę ci to zaraz. Statek przychodzi o dziesiątéj. Mam tymczasem interes do załatwienia, zejdziemy się nad morzem. (*wychodzi*)

ADELA. (*sama*)

Wyszedł; pan Baudry téż zajęty, (*pociąga za dzwonek, Barentin wchodzi*) powiedz panu Olivierowi że czekam w salonie. (*Barentin wychodzi*) Tak to jedyny sposób.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

nro: 4 v 865.